

Wojciech Lubawski  
Tomasz Natkaniec

Nie wiadomo kiedy,  
nie wiadomo gdzie...

**JEDNOŚĆ**

© Wojciech Lubawski, Tomasz Natkaniec, Kielce 2022

Redakcja techniczna

*Wiktor Idzik*

Projekt okładki

*Justyna Kulaga*

Na okładce wykorzystano obraz Krzysztofa Jackowskiego  
pt. *Niczego do grobu nie zabierzesz*

ISBN 978-83-8144-839-0

Wydawnictwo JEDNOŚĆ  
25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II nr 4  
Dział sprzedaży, tel. 41 349 50 50  
Redakcja, tel. 41 349 50 00  
[www.jednosc.com.pl](http://www.jednosc.com.pl)  
e-mail: [jednosc@jednosc.com.pl](mailto:jednosc@jednosc.com.pl)

Druk i oprawa:  
Drukarnia im. A. Półtawskiego  
[www.drukarnia.kielce.pl](http://www.drukarnia.kielce.pl)

# PROLOG



## Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo gdzie...

Siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu.

Młodszy obiecał sobie, że nie zacznie rozmowy, ale nie wytrzymał. Przecież w końcu nieczęsto zdarza się, by ktoś taki... Właściwie nigdy się nie zdarza, więc... Potarł policzek nienaturalnie poskręcany kciukiem i rzucił do starszego mężczyzny ze starannie wypięłgnowaną kocią bródką:

– To ciekawe...

Tamten drgnął jak ktoś nagle wyrwany ze snu. Obrzucił młodszego obojętnym spojrzeniem.

– Co niby?

– Masz nieograniczone możliwości, a jednego nie potrafisz...

– Mianowicie? – starszy uśmiechnął się ironicznie.

– Nie umiesz sprawić, by pragnęli czegoś innego niż miłości...

– Mi–łość–ci?!

– Oczywiście. Dobrze wiesz, że podświadomie chcą tylko jej.

Starszy zaniósł się śmiechem, aż łzy popłynęły mu z oczu.

– Co cię tak bawi?!

– Tylko jej... Nie... Paradne... Ty pompatyczny durniu! Wiesz, co naprawdę ich napędza?

– Co?

– Po-żą-da-nie! Pożądamy władzy, pieniędzy, seksu...  
Wszystkiego, co przyjemne! Dosłownie wszystkiego! Opo-  
wiedziałbym ci o tym coś więcej, ale... Ale zdaje się, czas na  
nas... Mamy zielone światło... – śmiech nagle zamarł mu  
na ustach. Wyprostował się i utopił spojrzenie w świetlistej,  
opalizującej przestrzeni.

– Faktycznie, zielone... – mruknął młodszy. – Mam  
nadzieję, że udajemy się w przeciwnych kierunkach?

Starszy spojrział na niego z nienawiścią.

– O, tak... – wysyczał. – Ale jeszcze się spotkamy...

\* \* \*

**Kraków, plac przed Szpitalem Położniczym przy ulicy  
Kopernika 23, 25 czerwca 1920 roku, późne popołudnie.**

– Wracajmy! Za dużo ludzi! Jeszcze nas stratuują! – mło-  
da dziewczyna z warkoczami do pasa próbuje wyszarpnąć  
dłoń z uścisku chłopaka w prostej robociarskiej koszuli. Ten  
uparcie przeciska się przez zbitą ciżbę, która faluje i unosi  
ich w kierunku prawego skrzydła budynku, niestety, daleko  
od wejścia.

– Proszę cię!

Chłopak nawet nie odwraca głowy.

– Muszę go zobaczyć! Muszę! – ryczy i naciera do przo-  
du. Do wejścia jest jeszcze może dziesięć metrów, ale grzę-  
zną w gęstej masie tłumu. Kobięcina w kwiecistej chustecz-  
ce stanęła na palcach i jak gąsior wyciąga szyję. Oświadcza,  
bezzadna:

- Nic nie widać!
- A niby co ma być widać, kumo? Przecie go trzymają przykutego łańcuchami do łóżka! – prycha stojący obok mężczyzna.
- Mogliby go chociaż na trochę wynieść!
- Może nie mogą? On podobno ogniem pluje!
- Pokręciliście wszystko! Sam z siebie nie pluje, tylko go doctory cyjankali chcieli nakarmić i wtedy zionął!
- Ale jakie cyjankali?! Wywieźli go do świętego Mikołaja okrzcić! Wtedy zionął! – oburza się kobiecina w chustce.
- Wyście do szcztu zdurnieli, babo?! Przecie to żydowskie dziecko! Żydóweczka porodziła, młodziuśka, dwanaście wiosen!
- Przecie wiem, co mówię! Okrzcić! Proboszcz od Mikołaja na kazaniu mówił, że przynieśli go po nocy! Zagląda w becik, a tu pysk koźlęcia, różki, kopytka i ogonek. No to on, że nie będzie krzcił, ale go uprosili. To wziął kropidło, a tu nagle – trrrrrrach! Jak błyskawica nie huknie! Aż mu kropidło z ręki wypadło! A diabełek chichocze!
- Józek! Chodźmy stąd! Ja go nie chcę oglądać! – dziewczyna ciągnie chłopaka za rękę, ale ten wynajduje lukę w ludzkiej ścianie i daje tam nura, unosząc ją za sobą. Już są prawie przy drzwiach szpitala. Pilnuje ich wysoki mężczyzna w granatowym mundurze, ale bez pagonów.
- Ludzie! Tu nie ma żadnego diabełka! Rozejdźta się! Poszaleliście?! – woła.
- Przekupiony! Ileś wziął, żebyśta go nie pokazali?!
- Ludzie! Dziecko zwykłe, tylko główka wielka! Chore!
- To pokażta!
- Do domów idźta! Bo stójkowego wezwę!

Z bocznych uliczek wysypują się kolejni żądni wrażeń. W oknach pierwszego piętra widać kilka przerażonych twarzy pielęgniarek; przerażonych, bo przecież nie wiadomo, czy ta oszalała ciżba nie zechce wziąć budynku szturmem?!

– Powariowali... – wyłamuje palce jedna z nich. – Panie doktorze, oni naprawdę wierzą, że Esterka urodziła u nas diabełka?! Może im jednak pokazać to dziecko? Że wodogłowie... Przecież nas tu pozabijają... Panie doktorze...

Lekarz z brodą Mojżesza patrzy na tłum za oknem. Pogardliwy uśmieшек igra mu na wargach.

– Ciemna hołota... – mruczy. – Nie wiedzą, że szatan nigdy nie przypomina szatana...



# CZĘŚĆ I



## ROZDZIAŁ I

**Los Angeles, siedziba Federalnego Biura Śledczego,  
11000 Wilshire Blvd, CA 90024, 16 sierpnia, popołudnie.**

– No dobrze, to od początku – uśmiechnął się dobrotliwie tęższy z dwóch agentów siedzących przy stole. Miał wytatuowany na przegubie dłoni niewielki romb.

– Imię?

Cisza.

– Nazwisko?

Cisza.

– Ile masz lat?

Cisza.

– Gdzie mieszkasz na stałe?

Cisza.

– Jak trafiłeś wczoraj około dziesiątej rano w okolicę A Four Seasons Hotel przy Wilshire Boulevard w Beverly Hills?

Cisza.

Drugi z agentów, szczupły mężczyzna po czterdziestce, przeczesał dłonią lekko szpakowate włosy i oświadczył, znudzony:

– A teraz powiem to, co w filmach mówią tacy koleś, jak my. Wiesz, co mówią?

Cisza.

– Nie żartuj. Naprawdę nie wiesz?

Cisza.

– Mówią; mamy czas. Tak, przyjacielu. Mamy czas... – uśmiechnął się smutno i jeszcze raz przeczesał włosy.

Siedzący naprzeciwko agentów czarnoskóry mężczyzna przekrzywił głowę i popatrzył na nich z zaciekawieniem, jakby przyglądał się rzadkim okazom ptaków tkwiących na drążku w wolierze. Po czym zapytał ironicznie:

– Długo wam zajmie poinformowanie mnie, o co jestem oskarżony? Bo siedzimy tu od kwadransa, pieprzycie jakieś farmazony, pytacie mnie w kółko o jedno i to samo, ale wciąż nie znam powodu waszej ciekawości? Nie wiem, kim jesteście: policjantami, agentami rządowymi? Może terrorystami? Zakładam, że albo pierwszymi, albo drugimi. Skoro tak, musieliście skończyć studia i zdać kupę testów, w tym dość skomplikowany na inteligencję. Bo chyba IQ macie powyżej 70? Czy się mylę...?

Mężczyźni milczeli.

– Założmy, że się nie mylę. Jeśli tak, to przyjmijcie do wiadomości, że nie dowiecie się ode mnie niczego, jeżeli nie powiecie bez żadnego kręcenia, o co chodzi? Nie zgarnia się z McDonalda Bogu ducha winnego czarnucha, bo to już nie te czasy. A może nie? Macie coś do mojego koloru skóry? Za ciemny? To powiedzcie wprost...

– Nie mamy nic przeciwko Afroamerykanom – zapewnił młodszy i znów uśmiechnął się smutno.

– Poprawka: po prostu Murzynom. Żadnym afro. W życiu nie byłem w Afryce... Ale dobrze... Skoro powód, dla którego siedzę w tym dziwnym pokoju, jest inny, to

chciałbym go poznać. Bo powtarzam: nie powiem od tej chwili słowa, choćbyście mnie tu skalpowali. Jasne?

Agenci wymienili spojrzenia. Mężczyźni za stołem wydało się, że szpakowaty dał wzrokiem koledze znak, by wyszli. I rzeczywiście: po chwili obydwaj opuścili pokój.

Zatrzymany przeciągnął się na niewygodnym krześle, aż zatrzeszczały kości. Utkwił spojrzenie w wiszącym na przeciwległej ścianie, japońskim obrazku przedstawiającym górę Fuji. Był to jedyny element, który można by od biedy uznać za wystrój wnętrza. Resztę wyposażenia pokoju stanowiły tylko stół i trzy krzesła. Nie było nawet okna.

Mężczyzna przyglądał się widoczkowi i zaciekawiła go jego faktura. Wstał, podszedł do ściany i palcami sprawdził, jaką techniką został wykonany obrazek.

– Kapitalne... – mruknął. Podkusiło go, by podważyć paznokciem jedną z cieniutkich warstw drewna, z których ułożono kompozycję, ale dał spokój. Odsunął się na odległość ramienia i wpatrywał z niekłamanym podziwem w sklejkową górę Fuji.

– Kapitalne... – powtórzył. Przeniósł wzrok na długą taflę lustra na przeciwległej ścianie. Pomachał w jej kierunku wesolutko, usiadł na swoim miejscu i zastygł w oczekiwaniu. Minęły dobre trzy kwadransy, nim otworzyły się drzwi i agenci znów zasiedli naprzeciwko niego.

– Długo was nie było... – skrzywił się. Zbyli to milczeniem. Wpatrywali się w niego, ciszę przerwał szpakowaty:

– Nazywam się Mark White, jestem agentem specjalnym kalifornijskiego oddziału Federalnego Biura Śledczego Stanów Zjednoczonych Ameryki. To mój partner, Stanley Bronikovski...

– O, o... Doskonale... Czyli mamy postęp... A ja jestem Frank Haymann, czarnuch... – rozłożył jowialnie ramiona i uśmiechnął od ucha do ucha.

– Świetnie wiemy kim jesteś, Frank. A jesteś tu, bo mamy z tobą kłopot.

Haymann uniósł brwi, zdziwiony.

– Nic wielkiego, rutynowy problem... Chcielibyśmy go jednak wyjaśnić, tak dla naszego spokoju. No i twojego...

– Macie ze mną kłopot? Jaki?

– Spokojnie, Frank, nie ma powodów do zdenerwowania – Bronikovski pochylił się ku niemu.

– Nie jestem zdenerwowany...

– I dobrze. Bo to szczegół. Na pewno go nam wytłumaczysz, odpowiesz na kilka pytań i rozejdziemy się w przyjaźni.

– Słucham.

– Taaaaak... – White zabębnił palcami w stół. – Chodzi o to, że ty... – zawiesił głos, nie wiedząc, jak sformułować myśl.

– Co ja? – Frank uniósł brwi.

– Nie żyjesz – odpowiedział Bronikovski.

Mężczyzna popatrzył na nich zaciekawiony i zakotywał się na krześle.

– Nie żyję?

– Właśnie – uśmiechnął się Bronikovski.

– Umarłeś niecałe dwa miesiące temu na raka trzustki, w klinice Green Oaks w Santa Monica. Zgadza się?

Po twarzy Haymanna przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

– A gdybym powiedział, że nic mi o tym nie wiadomo?

Detektywi spojrzeli po sobie. White wstał, wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z brązową plastikową teczką. Otworzył ją i rozłożył przed Haymannem plik dokumentów.

– Gdybyś tak powiedział, okazałoby się, że mamy niepotrzebny ambaras. Bo spójrz – podsunął mu papiery. – Tu jest dokumentacja leczenia ze szpitala Green Oaks, wszystko na temat twojego raka trzustki; szczerze współczuję, przy okazji... Tutaj akt twojego zgonu wystawiony przez Paula Conte, twojego onkologa; tutaj papierzyska dotyczące twojego pochówku, twoje zdjęcia i inne takie, a teraz uważaj, bo to najważniejsze: d z i s i e j s z e wyniki badań twojego DNA. Chcieliśmy je porównać z DNA twoich szacownych zwłok, które ekshumowaliśmy wczoraj. Przyznaję, bez twojej wiedzy, za co cię przepraszamy.

– I co? Ja i moje zwłoki to jedno?

– Niezupełnie.

– Nie stanowimy jedności? Poważnie?

– Niestety...

– Mam inne DNA niż mój trup?

Detektywi spojrzeli po sobie.

– Ty w ogóle nie masz DNA...

Haymann uniósł się z fotela.

– Nie mam DNA?! Każdy ma!

– Ty nie masz.

– Ależ to absurd! Spieprzyliście badanie! A właściwie kiedy pobraliście ode mnie próbkę?!

– Tajemnica zawodowa. Pomyłka jest wykluczona, podobnie jak w przypadku odcisków palców twoich i twoich zwłok. Ty i twój trup macie je identyczne, co w sumie wystarczy nam do ustalenia twojej tożsamości, ale niestety...

Szefostwo upiera się przy DNA. Takie procedury. No więc badanie przeprowadzono trzykrotnie. Trzy razy wyszło, że nie masz DNA. Co potwierdza naszą zasadniczą obserwację: odbiegasz od standardów...

Haymann niecierpliwie zabębnił palcami w blat.

– Jaja sobie robicie.

– A broń Boże!

– Nie! Robicie sobie jaja! Ukradliście moje DNA! Ja pierdzielę! – znów podniósł się z krzesła. – Oddajcie mi DNA! – wrzasnął, choć agenci odnieśli identyczne wrażenie: że ich rozmówca raczej dobrze się bawi niż rzeczywiście złości. Jak wiatrak machał rękami nad ich głowami, a gdy skończył i opadł na siedzenie, White popatrzył na niego spode łba i poprosił drewnianym głosem:

– Przestań pajacować. Może nie mamy najwyższego IQ, ale jednak obrażasz naszą inteligencję. My wiemy, że nie żyjesz. Na sto procent. Twoje zwłoki stanowią w przyswojeniu tej wiedzy pewną przeszkodę, ale niewielką, jeśli ktoś ma otwarty umysł. A my, co może cię zdziwi, mamy otwarte umysły. Mimo iż jesteśmy tylko zwykłymi agentami specjalnymi FBI. Na razie jednak zostawmy tajemnicę twojego zmartwychwstania. Dojdziemy do niej. I liczymy, że wtedy podzielisz się wiedzą, jak to się robi...

– Jasne. Zrobię wam wykład. Ale czemu nie teraz?

– Bo mamy ważniejsze pytania...

– Ważniejsze od tego, jak się zmartwychwstaje?!

– Zdziwisz się, ale tak. Póki co mamy dla ciebie ofertę...

– Serio?

– Tak.

– Na pewno chcecie złożyć ofertę facetowi bez DNA?



- Przestań. Rozmawiajmy poważnie.
- Jestem ś m i e r t e l n i e poważny.
- Odnoszę inne wrażenie.
- To nie mój problem. Nie odpowiadam za twoje wrażenia. Ale dawaj.

White przeczesał dłonią szpakowatą czuprynę.

– Okej. Oto nasza propozycja: my opowiemy ci o pewnej substancji, która nas szalenie interesuje, a ty wyjaśnisz nam, co to za gówno.

– Acha... Co to za gówno... I przyjmiecie wyjaśnienia od nieboszczyka?

– Naturalnie, nie mamy z tym problemu. Choć oczywiście, jak wspomniał mój kolega, liczymy na to, że nas później oświecisz: czemu żyjesz, skoro nie żyjesz. Ale substancja jest dużo ważniejsza niż takie pierdy...

– Naprawdę? Urocze... A jaki mam w tym interes? Gdybym wiedział, byłbym spokojniejszy. Zwłaszcza bez DNA...

– Może uratujesz świat, Frank... – uśmiechnął się figlarnie White.

– Tylko tyle?

– Właściwie interesuje nas jeszcze coś.

– Czy po zgonie widziałem białe światło?

– Akurat nie to...

– Zatem?

– Wyjaśnij nam jeszcze... – detektywi spojrzeli po sobie.

– Czy wiesz, że coś cię otacza? – podjął White.

– Dzikie wino?

– Raczej nie.

– Jesteście pewni?

- To nie wygląda na dzikie wino.
- A na co wygląda?
- Nie uwierzysz...
- Spróbujcie. Ja też mam otwarty umysł...
- White znów przeczesał dłonią włosy.
- No dobrze... Otóż, Frank... – zamilkł. Haymann pokręcił głową, zniecierpliwiony.
- Na litość Boską, wyduście to z siebie, żołnierzu...
- No cóż, panie Haymann... – kolega pospieszył White'owi na odsiecz. – Chodzi o to...
- Że otacza cię aureola. Jakbyś był pieprzonym świętym... – dokończył White, oglądając sobie uważnie paznokcie.

\* \* \*

**Kraków, hotel „Pod Różą”, ulica Floriańska 14. Apartament nr 3, 16 sierpnia, przedpołudnie.**

Pozwolicie Państwo, że się przedstawię:  
Nazywam się Simon Boucher. Profesor Simon Boucher.  
Moje nazwisko sugerowałoby, że jestem Francuzem.  
W rzeczy samej: mam nieco wspólnego ze Stolicą Świata. Pomieszkuję tam od czasu do czasu w kamienicy przy Boulevard Raspail 14 pod numerem 8, na trzecim piętrze. W sześciopokojowym apartamencie, nieco ciasnawym, ale to akurat nie ma dla mojej opowieści szczególnego znaczenia. I tak odwiedzimy Paryż na bardzo krótko, powiedziałbym: przelotnie. Tak. Przelotnie. To dobre określenie.

Zatem moje nazwisko może sugerować francuskie pochodzenie, ale to pozory, w dodatku również mało istotne. Znacznie ważniejsze jest to, iż nie ma wśród Państwa nikogo, kto nie zetknąłby się z moim – nazwijmy to eufemistycznie – dorobkiem naukowym (naturalnie w sposób pośredni), tak jak nie ma prawie nikogo, kto miał zaszczyt poznać mnie osobiście. Prawie, bo istnieją pasjonujące wyjątki od tej reguły, ale nimi zajmiemy się później.

Będę musiał przerywać od czasu do czasu tok tej opowieści moimi zapewne natrętnymi uwagami, ale bez obaw: nie za często. Od opowiadania są wszak narratorzy, w tym wypadku aż dwóch, co – moim zdaniem – stanowi iście samobójczy eksperyment, jeśli chodzi o historie ze mną związane. Zabieram jednak głos już teraz, by ich usprawiedliwić.

Albowiem to, w jaki sposób potoczy się za chwilę początek tej historii, i fakt, iż przypominać ona będzie Państwu inną, nie jest ich pomysłem. Ja na niego wpadłem, bo powieść, którą teraz czytam, szalenie mi przypadła do gustu: najlepiej oddaje pewne moje – jak by to nazwać – niepospolite umiejętności. Choć w niektórych kwestiach autor przesadza: nie jestem tak wspaniałomyślny, jak mój literacki odpowiednik. I nigdy nie otaczam się podejrzaną świtą. Uznałem jednak, że zabawnie będzie zaaranżować początek tej ekspedycji podobnie jak on. Ot, niewinna zachcianka starszego pana...

A mówię o tym dlatego, iż nienawidzę zachowania bez klasy i nie mógłbym znieść myśli, że winą za moje fantazje obarcza się kogoś innego. Tak więc grzech literackiego zapożyczenia, jak zresztą wszystkie inne, chętnie biorę na siebie.

A teraz cóż... Najwyższy czas wyjść z owej obskurnej nory nazywanej szumnie hotelem, i to na dobitkę najlep-

szym w tym nieszczęsnym mieście. Mieście, w którym nigdy bym się nie pojawił osobiście, gdyby nie pewien człowiek... Postanowił on zbudować... No, powiedzmy, że dość dużą łódź. Zresztą mniejsza z tym, szczegóły później.

Teraz zapraszam do kawiarni. Już tam na mnie i Państwa czekają, choć, na litość Boską... Nie mają o tym pojęcia! I byłoby dla nich lepiej, gdybym się do nich nigdy nie przysiadł...

\* \* \*

Kraków, plac Szczepański 3, kawiarnia „Zaćmienie”,  
16 sierpnia, przedpołudnie.

Oto i oni:

Ten pan siwiutki jak gołąbek, z poważną nadwagą, cukrzyca i podwiniętymi rękawami błękitnej koszuli to Artur Stasiak, powszechnie znany w mieście prezes firmy „Rescue”, zajmującej się ratowaniem ludzi i dobytku przed skutkami wszelkich katastrof; w przeszłości funkcjonariusz pewnego urzędu, który wzbudzał w nieprawomyślnych obywatelach uzasadnione obawy. Jego firma jest jedynym w województwie partnerem w branży security dla samorządów wszystkich szczebli, więc łatwo się domyślić, że zamówień mu nie brakuje.

Drugi, trzydziestokilkuletni, kompletnie łysy dzentelmen to Karol Kurek. Podobnie jak Stasiak – biznesmen całą gębą. Łączy ich również to, że matka Kurka pracowała jako sekretarka w urzędzie, którym trząśł Stasiak. To była

bardzo owocna i na pewnym etapie dosyć burzliwa znajomość, aczkolwiek jej syn o tym nie wie i raczej się już nie dowie.

Obaj panowie od bez mała dziesięciu lat są ze sobą zaprzyjaźnieni (tak przynajmniej twierdzą), choć ktoś rozumiejący mowę ciała mógłby nabyć wątpliwości, czy jest to ten rodzaj relacji, która najlepiej się sprawdza, gdy któryś z przyjaciół znajdzie się w biedzie. Nieważne.

Ważne, że Karol Kurek jest też teoretycznie właścicielem prężnie działającej i bardzo dużej hurtowni ubrań roboczych, specjalistycznych kombinezonów i wszystkiego, co niezbędne, by zapewnić zwykłemu śmiertelnikowi bezpieczeństwo i wygodę, gdy musi pracować w nie swoich ciuchach. Na mieście mówi się jednak, że to nie on trzęsie tym biznesem (właśnie dlatego padło słowo: teoretycznie), że jest zaledwie słupem dla inwestycji, którą wziął pod swe drapieżne skrzydła niejaki Artur Dziewięcki, urzędnik magistratu, który jednakowoż nie ma dla tej historii szczególnego znaczenia.

Panowie siedzą przy stoliku w ogródku uroczej kawiarenki i wygrzewają się w słończku. Marynarki powiesili na oparciach krzeseł. Pan Stasiak zasłuchał się w gruchanie białego gołębia spacerującego bezczelnie po siedzisku wolnego krzeselka. Pan Kurek wygląda na zmęczonego, ale dzielnie zajada jajecznicę na boczku i popija jasnym piwem, co jest dość osobliwe, ale on nie takie dziwne rzeczy wyczynia w życiu...

- Nie za późno na śniadanie, Karolu?
- Nic nie jadłem od wczoraj...
- Bo chłaleś. I to w dodatku u tej swojej... Jak jej tam?
- U innej.

– Ale chłajeś. Kiedyś zdechniesz. I to z interesem tam gdzie nie trzeba... – westchnął Stasiak i pokręcił głową z dezaprobatą. – Nie pytasz, co z pożarem?

– Pytam: co z pożarem?

– Wszystko dobrze. Poszło z dymem jakieś dwadzieścia hektarów. Kompletne pogorzelsko.

– A twoje ekipy?

– Pracują na miejscu. No, ale wiesz... Nawet strażacy nie byli w stanie tego ogarnąć.

– I rzeczywiście puściłeś z dymem kilkanaście gospodarstw? Sporo... Nawet jak na ciebie... Biedni ludzie...

– Karolu, bądź poważny... Przecież wiesz, że im bardziej dramatycznie, tym chętniej władza sięga do sakiewki... Poza tym pogorzelscy będą mieli lepiej, a przy okazji i ty zarobisz, i ja zarobię... Taki jest świat, przecież nie musisz ci tego tłumaczyć nie wiadomo który raz...

– Nie musisz. W końcu jesteś moim guru... – Kurek uśmiechnął się z nieuchwytną dla rozmówcy ironią. – Twoje zdrowie! – wychylił piwo do dna, przywołał kelnerkę i zamówił następne. Spłoszony jego okrzykiem biały gołąb odfrunął z chaotycznym trzepotem skrzydeł i zatoczył koło nad dwiema zakonnicami, idącymi w ich stronę i dźwigającymi wielki biały materac.

– Nieźle laski... – mruknął Stasiak. Kurek podniósł wzrok.

– Że niby tamte?

– No. Jakby tę niższą ubrać jak człowieka...

– W minióweczkę?

– Albo coś obciśłego... Dekolcik, wiesz...

– Mmmmm... Ale ta wyższa też niczego sobie.

– No. Figurka jak złoto...

– Po co im ten materac?  
– Nie wiesz? – puścił oko Stasiak.  
– Myślisz?  
– O, na pewno!  
– Swoją drogą... Tak sobie spieprzyć życie, nie? Zawsze mnie to zastanawiało...

– Skąd wiesz... Może bzykają się z braciszkami między zdrowaškami... Albo między sobą... Ciekawe, czy by się do nas dosiadły?

– Zaproś je...

– Daj spokój! – zamachał rękami Stasiak. – Jeszcze mi tu gotowe robić wykłady o zmartwychwstaniu!

– Oj, Arturze... Nieładnie... Nie wierzysz w Boga... Nie dostaniesz rozgrzeszenia... – Kurek parsknął śmiechem, a jego interlokutor mu zawtórował. Nie zauważyli, że za ich plecami stanął starszy mężczyzna w wytwornym jasnym garniturze, słomkowym kapeluszu i śnieżnobiałej koszuli z wyhaftowanym monogramem „SB” na kieszonce. Mimo słonecznej pogody miał zwinięty parasol w absurdalnych kolorach tęczy. Teraz oparł dłonie na jego rękojeści i przyglądał się mężczyznom z dobrodusznym uśmiechem.

– Panowie wybaczą... – zaczął uprzejmie, a oni odwrócili głowy. – Usłyszałem niechcący, iż zajmuje panów istotna kwestia: czy owe niewiasty, znikające za rogiem tamtej kamienicy, utrzymują, mimo ślubów zakonnych jakie złożyły, stosunki płciowe z mężczyznami? Albo między sobą?

Stasiak z Kurkiem wymienili spojrzenia.

– Chyba się nie przesłyszałem, nieprawdaż? – upewnił się mężczyzna, gładząc perfekcyjnie przystrzyżoną siwą kosią brodkę. – Dyskutowaliście o domniemanym życiu sek-

sualnym tamtych dwóch sióstr szarytek, niosących materac do hospicjum, w którym posługują? Czyż nie?

Kurek pierwszy odzyskał rezon.

– Kim pan jest? – zapytał ostro.

– O, proszę wybaczyć... Co za nietakt... Kim jestem... Cóż... Nazywam się Boucher, profesor Simon Boucher – dotknął róna kapelusza. – Akurat przechodziłem i – jak mówię – przypadkiem usłyszałem panów rozmowę, a ponieważ rzecz wydała mi się nadzwyczaj ciekawa, pozwoliłem sobie... Tak! – ryknął znienacka. – Co za zagadka! Czy one uprawiają seks mimo tego, że oddały się Bogu?! I co z tego wynika?! Pasjonujące!

Mężczyźni znów spojrzeli po sobie, jakby oczekując od siebie nawzajem wyjaśnień: co tu robi ten smutny kozioł, zadający kretyńskie pytania...

– Wcale nie kretyńskie, wcale nie... – mruknął Boucher, jakby odgadł ich myśli. – Być może nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale niechcący dotknęliście kwestii fundamentalnej: istnienia bądź nieistnienia Boga...

– Kim pan jest? – powtórzył Kurek, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Zaciekawiony Stasiak położył mu dłoń na przegubie ręki, dając do zrozumienia, by odpuścił.

– Już mówiłem – skłonił się powtórnie Boucher. – Jeśli pragniecie panowie wiedzieć o mnie coś więcej, chętnie opowiem, ale w tej chwili sugerowałbym, abyśmy wrócili do głównego nurtu waszej pasjonującej dyskusji. A zatem: czy siostry zakonne mają prawo – jak to malowniczo ujęliście – bzykać się? Wydawać by się mogło, że rozstrzygnięcie tej kwestii zależy w istocie od tego, czy Bóg istnieje. Tak, zdecydowanie... Podkreślałem zwrot „wydawać by się mogło”, gdyż sprawa nie jest oczywista. Albowiem jeśli założy-



my, że Bóg istnieje, a niewiasty te składały śluby czystości, to bzykanie jest w ich przypadku całkowicie wykluczone. Stoi w sprzeczności z ich przysięgą i ta kwestia nie podlega dyskusji. W przeciwnym wypadku zgrzeszyłyby, i to ciężko, bo Bóg – jeśli oczywiście istnieje – wymaga od nich więcej. Ale... – zawiesił głos, jakby sprawdzając, czy mężczyźni słuchają go z należytą uwagą.

– Ale...? – podjął kpiąco rozbawiony Stasiak, ale Boucher niezrażony ironią kontynuował śmiertelnie poważnie:

– Ale jeśli Boga nie ma, to wydawać by się mogło, że nasze niewiasty mogą się jednak – znów użyję panów urzekającego sformułowania – bzykać. Tym niemniej zauważmy, że istnieje tu pewna przeszkoda logiczna... Bo nawet jeśli Bóg nie istnieje, to przecież według nich istnieje, więc kwestią rozstrzygającą nasz problem jest to, w co obie niewiasty wierzą! Oczywiście! – klasnął w dłonie szalenie z siebie zadowolony. – W jednym i drugim przypadku wychodzi na to, że nie mogą się bzykać! – spojrzał na nich uszczęśliwiony.

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Przepraszam, ale... – unióśł brwi Stasiak. – Na pewno nie mogą się bzykać? Czy jest pan tego całkowicie pewien?

– Ależ tak! – zawołał tryumfalnie Boucher. – I radziłbym panom nie podkpiwać z tego oraz nie lekceważyć kwestii eschatologicznych, bo są fundamentalne! – znów klasnął w dłonie, a mężczyźni ponownie spojrzeli po sobie, pytając się nawzajem wzrokiem, co oznacza termin „eschatologiczny”. – W sumie właściwie wszystko sprowadza się do jednej kwestii: jest Bóg czy Go nie ma? – zakończył Boucher.

– Nie ma. To naukowo udowodnione – uśmiechnął się Stasiak. – Ale może pan spocznie? – uprzejmie podsunął mu wolne krzeselko.

– Dziękuję. Proszę wybaczyć, ale nauka niczego takiego nie udowadniała i opiera pan swoje twierdzenie na wierze...

– Na wierze?

– Dokładnie tak. Jest pan człowiekiem wierzącym.

– Ależ to absurd! Jestem niewierzący!

– W żadnym wypadku. Pan wierzy, że Boga nie ma. Z punktu widzenia logiki formalniej to oczywiste.

– A pan? – zapytał zaczepnie Kurek.

– Ach, ja... To nie ma znaczenia – machnął ręką. – Nie chodzi o mnie. Chodzi o panów.

– O nas? – uniósł brwi Stasiak. – Niby czemu?

– Czemu? Pozwoli pan, że zapytam także jego – Boucher spojrział na Kurka. – Podziela pan przekonanie przyjaciela o nieistnieniu Boga?

– Oczywiście.

– Zatem mam dla panów złą wiadomość. Bóg istnieje.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i wybuchli śmiechem. Kurek jednak odniósł dojmujące wrażenie *deja vu*. Tak... Był niemal pewien, że już przeżył tę rozmowę, już ją słyszał... Ale gdzie? Kiedy? A może...

– Panie profesorze, nie wiem, czy pan jest tego świadom, ale mamy XXI wiek – Stasiak uczynił ręką nieokreślony gest. – Średniowiecze już dawno za nami... – nie dokończył, bo Boucher zastopował go gestem dłoni.

– Czasy nie mają tu nic do rzeczy. Chociaż... Cóż... Obecne są istotnie dość ciekawe pod tym względem. Chodzi o to, że – jak powiedziałem – Bóg istnieje. Podobnie jak szatan, bo skoro jest jeden, to musi być i drugi. Nie ma co do tego wątpliwości.

Kurek zrobił wielkie oczy, a Stasiak spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć: „Ostrożnie, facet jest nie tego...”.

I wycodził:

– Taaaak... No cóż... Może... Chociaż, wie pan, profesorze? Coś panu powiem: gdybym wierzył w Boga, to dwadzieścia cztery godziny na dobę zadawałbym sobie jedno pytanie...

– Mianowicie? – nadstawił ucha Boucher.

– Dlaczego pozwala na działanie szatana, który czyni tyle zła...

Profesor roześmiał się z pobłażaniem.

– Co pana tak bawi? To chyba sensowne pytanie?

– Nie za bardzo...

– Niby czemu?

– Nieważne...

– Ależ bardzo ważne! Przecież gdyby ten Miłosierny rzeczywiście był miłosierny, to by szybciotko wybaczył Adamowi i Ewie, dzięki czemu dziś żylibyśmy wszyscy w raju. Tak czy nie?

– Otóż nie, drogi panie! Nie! – Boucher uniósł się z krzesła. – Bo cały problem sprowadza się do faktu, iż Bóg, który według pana nie istnieje, tak mocno zakochał się w swoim tworze – człowieku – że lekkomyślnie ofiarował mu wielki dar: wolną wolę! Ale ona pociąga za sobą niebezpieczeństwo popadnięcia w grzech! To jasne, choć mało kto dostrzega ową zależność. Bo przecież mając wolną wolę może pan robić, co się panu podoba. Rzeczy dobre i złe. Bóg zostawia więc panu niebezpieczny wybór: pozwala beztrąsko igrać z ogniem w magazynie pełnym prochu, co zawsze mnie zastanawiało w obliczu Jego miłosierdzia... I wtedy tylko od pana zależy, czy zaprosi pan do swojego

życia tego, który ofiarowuje tyle niepowtarzalnych przyjemności...

– Czyli kogo? – uniósł brwi Kurek.

– Szatana, drogi przyjacielu... Szatana... – Boucher uśmiechnął się czarująco.

– Czyli wolna wola to pułapka? – wtrącił Stasiak.

– Wolna wola to nic więcej jak wolna wola. Można z niej – jak powiedziałem – zrobić różny użytek. Ostatnio ludzie robią jak najgorszy...

– Czyżby?

– Ależ oczywiście! Wystarczy spojrzeć na miasto mojej młodości, w którym czasem pomieszkuję: Paryż. Byliście tam panowie?

Mężczyźni przytaknęli.

– Doskonale! – zatarł dłonie Boucher. – No więc Paryż... Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku był rajem. No, może nie dla wszystkich, ale dla mnie na pewno. Zimy łagodne, lata też, a jesień pełna cudownych kolorów, zwłaszcza w Ogrodzie Luksemburskim... Ludzie jakby lepsi. Pozdrawiali się, nie spieszyli i generalnie wierzyli w Boga, a co za tym idzie, uwaga! – Boucher podniósł palec wskazujący – w szatana również!

– Proszę wybaczyć... – wtrącił Kurek, ale Boucher powstrzymał go gestem dłoni.

– Uwielbiałem wtedy spacerować w niedzielne przedpołudnia po Dzielnicy Łacińskiej. Może to nie był najbardziej elegancki fragment miasta, ale za to bardzo czysty, choć trudno w to dzisiaj uwierzyć! A z większości otwartych na oścież okien starych kamienic płynęła jedyna w swoim rodzaju paryska muzyka: te urocze dźwięki akordeonu, ten magiczny głos Edith Piaf... Tak... No i te codzienne dysku-

sje rozgrzewające intelektualną elitę. Dacie wiarę, że w kawiarnianym ogródku można było spotkać Juliett Greco albo Michela Legranda? Że każdy nowy film Godarda lub Truffauta podnosił temperaturę w restauracjach i kawiarniach? Mówiąc nawiasem, miałem w to niejaki wkład – oświadczył z fałszywą skromnością, oglądając sobie z uwagą paznokcie. – Nie pytacie, jaki? Powiem wam... – ciągnął, wyraźnie zawiedziony ich milczeniem. – Otóż uwielbiałem moje dyskusje z Jeanem-Paulem Sartrem, bo upewniały mnie, że jest zwyczajnym durniem. W dodatku skończonym megalomanem, nieprzyjmującym do wiadomości racjonalnych argumentów tylko dlatego, że nie były jego... Tak... A gdy zdarzało się, że zbłądziłem na Rue Saint Denis lub w okolicy placu Pigalle, to powiem wam, że nawet one – panie w mocno balzakowskim wieku, oferujące swoje grzeszne ciała za kilka franków – nawet one wydawały mi się wówczas piękne...

– No i co z tego? – wzruszył ramionami zniecierpliwiony Kurek.

– Cierpliwości, młody człowieku, już przechodzę do sedna. Tak było, ale dziś... Dziś z prawdziwym smutkiem muszę stwierdzić, że ludzie o wolnej woli zmienili i wciąż zmieniają moje piękne miasto w przedsionek piekła, bo pomylili wolność z anarchią. Jedźcie tam i wejdźcie w cuchnące moczem, kiedyś malownicze zaułki Marais albo XVII Dzielnicy. Spójrzcie na pokryte obrzydliwymi graffiti elewacje eleganckich kamienic na Polach Elizejskich albo bulwarze Hausmanna. Zauważcie też, że gdy ktoś was potrąci na ulicy, już nie usłyszycie śpiewnego „excuse moi”, ale możecie oberwać nożem pod żebro. Podobnie jak nocą w tunelu metra, do którego niech was ręka boska broni zapuszczać

się bez gazu pieprzowego! Nawet nie wspomnę o tym, że w niedzielne przedpołudnia już nie słyhać akordeonu, a wielkich artystów nie sposób spotkać, bo ich nie ma! Już nie istnieją! Gdyż i sztuka się skończyła, nad czym szczególnie ubolewam...

– Skończyła...? – bąknął Kurek.

– Oczywiście. Są jakieś żałosne wykwyty gnijących umysłów, jakieś wymiociny ich rozkładającej się wyobraźni, dla której szczytem aktu twórczego jest nasikanie na krzyż z przybitym do niego Chrystusem, choć Jego ofiary – wyznam wam szczerze – nie pochwalam. To jest teraz wolność. Twórcza. A gdy płonie Norte Dame, paryżanie zastanawiają się, czy gdy zostanie ugaszona i posprzątana, nie dobudować minaretu do tego cudownego kamiennego serca katolickiej kiedyś Francji? Żeby nikt się nie obraził? Zwłaszcza ci, którzy rozkładają swoje dywaniki gdzie popadnie i modlą się, przeszkadzając starym paryżanom w cieszeniu się croissantem, spożywanym na śniadanie w kafejce na rogu ulicy...

– Ma pan coś przeciwko nim? – wtrącił Stasiak.

– A pana nie przerażałaby nienawiść w ich ciemnych, zmrużonych wojowniczo oczach? Mnie przeraża, gdy ostrożnie próbuję się przedrzeć na drugą stronę bulwaru między ich dywanikami... Oni mnie szczerze nienawidzą! I nie dlatego, że im przeszkadzam w modłach, ale dlatego, że ośmielałam się być mniejszym entuzjastą ich religii niż oni! A w dodatku jestem biały, choć oczywiście ich nikt nie nazywa rasistami, dopiero by się porobiło! No więc najchętniej by mi ucieli głowę, rach-ciach! Zarówno ci, co się w Paryżu już zadomowili, jak i ci, co koczują czasem na Polu Marsowym, choć nikt ich nie zapraszał. Tak, panowie... To jest

właśnie mój dzisiejszy Paryż... Zgniły owoc anarchii, którą tak łatwo pomylić z wolnością... – zadumał się.

– No właśnie – cmoknął Kurek. – Jakby Bóg istniał, to by na to nie pozwolił!

Profesor westchnął ciężko.

– Z przykrością stwierdzam, że niczego pan nie zrozumiał. Tak... Umiejętność poprawnego myślenia jest pana słabym punktem. Pana zresztą również – zwrócił się do Stasiaka. – I to bynajmniej nie jedynym... – zachichotał, szalenie z siebie zadowolony.

– Mam inne? – prychnął zirytowany Stasiak. – Nie wydaje się panu, że jest pan nieco bezczelny?

– Oczywiście, że jestem bezczelny! Ale to w niczym nie zmienia sensu tego, co powiedziałem...

– A jakież to słabe punkty ma mój przyjaciel? – zapytał wojowniczo Kurek.

I wtedy Boucher bardzo wolno i z wysiłkiem, zupełnie jakby był złożony reumatyzmem, podniósł się z krzesła, sięgnął do kieszeni swej nieskazitelnej marynarki i wysupłał z niej niewielką, złotą monetę. Podniósł ją do góry, jakby w promieniach słońca chciał sprawdzić, czy nie jest fałszywa. Następnie położył pieniądze na języku, ale tylko na chwilę, gdyż nagle, błyskawicznym ruchem wyjął go z ust i... przykleił dokładnie pośrodku czoła Stasiaka!

– Oto pana słaby punkt! – rzucił z niespodziewaną mściwością, po czym chwycił rękojeść swojego absurdalnego parasola, odwrócił na pięcie i nim obaj zdumieni mężczyźni zdążyli zareagować – zniknął za rogiem kamienicy.

Los Angeles, Centrum Handlowe California Plaza, 16 sierpnia, popołudnie.

Tak!

To na pewno ona!

Właśnie go mijają, zjeżdżając ruchomymi schodami, podczas gdy on wjeżdżał i jedyne, co mógł zrobić, to odprowadzać ją rozpaczliwym spojrzeniem. Wyciągał szyję ponad tłum, jakby to mogło ją zatrzymać, ale w końcu kobietę przesłoniły postaci innych osób i... Wtedy dopiero gwałtownie odwrócił się i roztrzając ludzi dookoła zaczął zbiegać po kilka stopni w dół. Tylko nie stracić jej z oczu!

– Nancy!

Ale była zbyt daleko, by usłyszeć.

– Nancy! Hej! Nancy!

Drgnęła, niepewna, że to ją wołają.

– Nancy, to ja!

Wreszcie odwróciła głowę. Ich spojrzenia skrzyżowały się tylko na ułamek sekundy, bo stracił równowagę na lśniącej tafli wjazdu na schody. W ostatniej chwili przytrzymał się poręczy, pomachał jej ręką i już stał na twardym gruncie, który wreszcie nie uciekał spod nóg, jej jednak zostało do pokonania jeszcze parę metrów. Otworzył ramiona, jakby chciał ją, zjeżdżającą prosto na niego, zamknąć w uścisku.

– Nancy! Nancy Green!

Uśmiechnęła się promiennie, klasnęła w dłonie i zeskończyła z ostatniego stopnia. Podtrzymał ją za łokieć.

– David! Na litość Boską!



– Nancy! Nie wierzę! Nancy!

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu, dotykając dłońmi swoich ramion, jakby w ten sposób chcieli sprawdzić, czy obydwójce są realni. Wreszcie odezwał się on:

– Masz kwadrans? Pójdziemy na kawę?

Pokiwała głową z zapalem:

– Jasne! Dave... Nie mogę uwierzyć...

– Tam jest Starbucks. Czy wolisz coś bardziej wyszukanego?

– Nie, Starbucks jest okej – uśmiechnęła się.

Weszli. Przysunął jej krzesło i złożył zamówienie. Po chwili siedział już naprzeciwko niej i pożerał ją wzrokiem: ta sama rezolutna buzia z lekko zadartym nosem, choć pełniejsza. Ten sam charakterystyczny gest poprawiania włosów, długich jak wtedy, choć już nie blond, a lekko rudawych. Ten sam seksowny pieprzyk w lewym kąciку ust. I rozmarzony półuśmiech... Nancy Green... Inna, ale przecież ta sama...

– Ile to już lat? – zapytała, mieszając kawę mieszadłem.

– Wiesz... Który to był rok?

– Ostatni rok college'u...

– No tak, oczywiście. Ostatni. Czyli... dwanaście lat.

– Dwanaście. Szmata czasu...

– Wieczność...

Milczeli przez chwilę, spoglądając na siebie i zastanawiając się nad kolejnym pytaniem, które – obydwójce to czuli – powinno być na tyle obojętne, by nie wtargnąć nim na zamknięty teren ich życia prywatnego.

– Jesteś na zakupach?

– Nie, nie lubię kupować w galeriach... Byłam w kinie...

- Na czym?
- „Ojciec”. Oglądałeś?
- Nie. To ten z Hopkinsem? Oscarowy?
- Ten. Gra starca chorego na Alzheimera.
- Słyszałem, że świetny...
- Cudowny! Wstyd się przyznać, ale ryczałam ostatnie dziesięć minut...

David zmrużył oczy i Nancy wydało się, że w jego spojrzeniu błysnęła iskierka tkliwości, takiej jak wtedy...

– E tam, wstyd... Zawsze płakałaś w kinie... Pamiętasz? Na dzień przed bale maturalnym poszliśmy na „Wzgórze nadziei” i nie miałaś chusteczek. Jakiś pajac z tyłu walił cię gazetą po głowie, żebyś przestała smarkać....

– O mało się z nim nie pobiliśmy po ciemku...

– Niewiele brakowało...

– Ledwo cię powstrzymałam...

– Pamiętam... Tak, to było tuż przed bale... Pamiętasz bal? – David zatrzymał spojrzenie na prawej dłoni Nancy. Dopiero teraz dostrzegł na jej serdecznym palcu szeroki ślad po obrączce. Uśmiechnęła się mgliście.

– Jak bym mogła zapomnieć? Wpadłeś na scenę, wywrałeś gitarę Hankowi i zagrałeś specjalnie dla mnie „Sambę pa ti” – napotkawszy jego spojrzenie, położyła dłoń na dłoni, jakby zawstydzona się tej smutnej obwódki. – Myślałam, że zemdleję... Jak wtedy, gdy mnie pocałowałeś przy wszystkich na imprezie u Simona Rosenfelda. Pamiętasz...? A potem urwaliśmy się z niej...

– Tak... Ale to było u Matta. Matta Hollanda. Na pewno...

– Matta? Możliwe... Ale zwialiśmy od niego.

– No... Łało i schowaliśmy się u ciebie w szopie...

– Nie, nie łało. Chcieliśmy być sami... Nie pamiętasz, jak Caroline wечно wbiła się do mojego pokoju?

– Faktycznie! Caroline! Twoja siostra była straszna!

– Dlatego ukryliśmy się w szopie...

– Tak... Masz rację... Tak to było...

Nancy odgarnęła włosy z czoła.

– Boże... Wszystkie dziewczyny mi ciebie zazdrościły... Co do jednej. A zwłaszcza ta okropna Becky Muller, pamiętasz ją? Najbardziej wścibska dziewczucha, jaką spotkałam... Ależ była pewna siebie... A ty...

– A ja zakochałem się w tobie...

– We mnie... Takiej zwyczajnej... Najprzystojniejszy chłopak w klasie...

– Daj spokój...

– Tak było. Zresztą... Ciągłe jesteś przystojny... Może nawet przystojniejszy niż wtedy – uśmiechnęła się filutecznie, podniosła kubek do ust i utkwiała spojrzenie w mieszadku, które Dave odłożył na serwetkę.

Znów zamilkli, ale tym razem cisza przedłużała się ponad zwyczajową przerwę w rozmowie. Dave odniósł wrażenie, jakby Nancy na coś czekała... Nagle zrozumiał, że istotnie tak jest. Czekala na to jedno pozornie obojętne, zwłaszcza po tylu latach, pytanie. Czekala, bo przecież nigdy sobie tego nie wyjaśnili, a teraz pewnie za chwilę się rozejdą, wymieniwszy numerami telefonów, ale przecież żadne nie zadzwoni... Więc nic dziwnego, że chciała to wiedzieć, nawet jeśli pytanie było nie na miejscu i miało roztrzaskać w drobny mak bezpieczną obojętność ich dialogu. W dodatku palce jej dłoni zaczęły właśnie prowadzić wzajemną wojnę podjazdową: spletały się niecierpliwie, uderzały nerwowo opuszkami o opuszek, stukały paznokciem o pazno-

kieć... Tak samo jak tyle lat temu po dialogu jej dłoni poznawał, że się niecierpliwi. Więc choć minęło morze czasu, widział, że teraz czeka na to... Zatem...

– Myślisz, że... Że gdybym nie wyjechał...?

– Tak.

Pokiwał głową w zamyśleniu i spojrzął w jej ciemnobrązowe oczy. W ich kącikach dostrzegł pajęczki zmarszczek.

– Zawsze tego żałowałem, wiesz? – powiedział miękko.

– Wiem.

Zamilkli. Nancy znów wbiła wzrok w mieszadefko, a jej dłonie ogłosiły rozejm i objęły czule kubek z kawą, jakby chciały się rozgrzać. I może dlatego pamięć Dave'a przywołała wspomnienie: oto siedzieli po ciemku na plaży i trzęśli się z zimna po nocnej kąpieli w oceanie, a on postanowił rozpalic ognisko i ruszył zbierać z plaży wszystko, co nadało się na podpałkę. Uśmiechnął się. Już chciał jej to przypomnieć, ale Nancy drgnęła i zrobiła taką minę, jakby jego raptownie rozpromienione spojrzenie sprawiło jej ból. Przekrzywiła głowę w charakterystyczny sposób: jak wtedy, gdy czegoś nie rozumiała i tym gestem domagała się wyjaśnień.

– Jesteś szczęśliwy? – zapytała znienacka.

Uniósł brwi, zdziwiony. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś go o to pytał.

– Nie jestem nieszczęśliwy.

– Skończyłeś studia?

– Tak.

– I zostałeś...

– Tak...

– Żona? Dzieci?

– Nigdy się nie ożeniłem.

– Dlaczego?

Spojrzał przez szybę na anonimowy tłum.

– Sam nie wiem...

– Nie znalazłeś drugiej połowy? – wyczuł w jej głosie zaczepkę.

– Pewnie nie...

– Wybacz... Nie moja sprawa... – przeprosiła go uśmiechem, ale gestem dłoni dał jej do zrozumienia, że nic się nie stało.

– Ja w sumie... – urwała. Też spojrzała na tłum za oknem, lecz beznamiętnie, jakby uszły z niej emocje. Jakby weszła w niewidzialną dla niego strefę mroku, która nagle zmieniła jej nastrój... Jej wargi zdrząły niebezpiecznie, a palce znów odtrąbiły atak i zaczęły misterne działania wojenne.

– Zrobiłem ci jakąś przykrość? – chciał położyć dłoń na jej dłoni, ale uciekła z ręką.

– Nie, coś ty... Dlaczego? – uśmiechnęła się sztucznie.

– Przepraszam, jeśli...

– Nie, nie. Nic się nie stało... Naprawdę... To... nic...

– znów urwała i znów beznamiętnie zapatrzyła w szybę. Kąciki ust znów zdrząły, a w oczach... W oczach niespodziewanie błysnęły łzy. Odwróciła głowę. Zaniepokojony, pochylił się w jej stronę:

– Nancy? Co się stało?

Wyjęła chusteczki z torebki, otarła oczy i z trudem wymusiła uśmiech.

– Widzisz? Dziś mam! – pomachała mu wesolutko paczuszką przed nosem. I... znów się rozpląkała.

– Nancy... – ujął jej dłoń, ale wyszarpnęła ją.

– Przepraszam cię... Ciężki dzień... Przepraszam... – chlipała. Patrzył bezradnie.

– Nie chciałem, naprawdę...

– To nie twoja wina. Nie twoja, rozumiesz?! – spojrzała na niego z nieoczekiwaną wrogością. – Przepraszam... Niepotrzebnie mnie zaprosiłeś... Nie nadaję się... – ukryła twarz w dłoniach.

Zastanawiał się, jaki nerw jej duszy szarpnął zbyt mocno. Nie miał pojęcia. Bo przecież to niemożliwe, żeby wspomnienia ich wspólnych kilku miesięcy sprzed tylu lat aż tak bardzo wyprowadziły ją z równowagi. Nie, na pewno nie... Chociaż...

Wreszcie się uspokoiła, otarła oczy, ale wciąż milczała. I nagle... przeszła go wyzywającym spojrzeniem, w którym na ułamek sekundy błysnęły desperacja i wściekłość.

– Jutro usuwam ciążę! – oświadczyła entuzjastycznie, na przekór spojrzeniu, i zmusiła do uśmiechu. Ale ten zgasł tak szybko, jak się pojawił, i wąskie pasemka jej ust stały się jeszcze węższe, zacisnęła je, aż odpłynęła krew. Pochyliła głowę głęboko, widział tylko perfekcyjnie rozczesany przedziałek jej włosów.

Zastygł, porażony jej zachowaniem, a potem odruchowo wyciągnął dłoń, by pogłaskać Nancy po głowie, jak kiedyś, dawno temu, ale cofnął rękę, nie wiedzieć czemu zawstydzony tym gestem.

– Przepraszam! – zerwała się od stolika. – Przepraszam, Dave, muszę iść! – chwyciła torebkę z blatu i desperackim ruchem odtrąciła krzesło, które o mało się nie przewróciło. Ruszyła w stronę drzwi, ale w ostatniej chwili chwycił ją za rękę.

– Zaczekaj!

Chciała się wyrwać, lecz z całej siły ścisnął jej przegub.

– Nancy!

- Daj mi spokój!
- Siadaj!
- Puść mnie!
- Proszę cię!
- Puszczaj!
- Nancy!

Zatrzymała się, niezdecydowana.

- Nancy, usiądź... – poprosił łagodnie.

Spojrzała na niego wrogo, ale zawróciła do stolika. Od-sunęła krzeselko, przycupnęła na jego brzeżku. Ironiczny uśmiezek błąkał się na jej wargach, czekała na to, co powie.

Ale David milczał. Wpatrywał się w nią uważnie, znie-ruchomiął jak jaszczurka. Miał pustkę w głowie, choć po-czuł, że musi coś powiedzieć, by ją zatrzymać. Ale co?

W końcu położył dłoń na jej dłoni i zaproponował łą-godnie:

- Porozmawiajmy, Nancy... Na spokojnie...